

WARTO WIEDZIEĆ

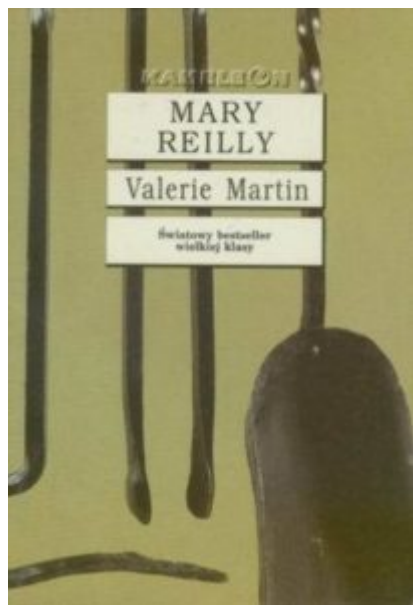
MARY
REILLY

Valerie Martin

Światowy bestseller
wielkiej klasy

O kobiecym cierpieniu słów kilka

Fahrenheit Crew



Recenzja konkursowa

Valerie Martin

Mary Reilly

Tłum.: Barbara Lindenberg

Wydawca: Zysk i s-ka, 1995

Stron: 208

Cena: raczej antykwaryczna ;)

Naprawdę powinienem się wstydzić, że dopiero teraz zapoznałem się z „Mary Reilly”. Nigdy nie czytałem „Doktora Jekylla i pana Hyde’a”, której ta powieść jest spin-offem, widziałem tylko kilka filmów na jej podstawie, trochę parodii, sporo pastiszów i mnóstwo plagiatów. Oglądałem również niedawno adaptację filmową dzieła Valerie Martin z Johnem Malkovichem i Julią Roberts, a za samą książkę zabrałem się dopiero teraz. Dla człowieka pretendującego do miana znawcy literatury grozy to kompromitacja. Teraz jednak powoli te braki nadrabiam.

Smutnej historii Jekylla/Hyde’a nie ma chyba sensu nikomu przypominać, znają ją absolutnie wszyscy (nawet ja, a przecież nie czytałem), zresztą nie o nim jest ta opowieść, a o jego nieszczęsnej służącej. Dlatego też nie sposób tej książki uznać za horror. Jest to kameralna, jedynie wzbogacona elementami fantastyki powieść psychologiczna opisująca proces intelektualno-emocjonalno-erotycznego dojrzewania młodej kobiety. W tej kolejności. Martin jest zasłużoną weteranką literatury kobiecej, zwłaszcza takiej mocno sfeminizowanej, przyznającą się do inspiracji Flaubertem i romantyzmem gotyckim. Powyższe fascynacje pisarki musiały zaowocować powieścią taką jak „Mary Reilly”.

Od pierwszych stron wiadomo, że tytułowa postać rozpaczliwie potrzebuje psychoterapii. W dzieciństwie maltretowana przez ojca-pijaka, zamykana w schowku pod schodami w towarzystwie szczura, jako dorosła dziewczyna jest bardziej poharatana wewnątrz niż wskazywałyby na to jej liczne blizny. I to one pierwsze przyciągają uwagę doktora Jekylla. Wypytuje o ich pochodzenie, a widząc, że kobieta ma kłopoty z mówieniem o tych wydarzeniach, proponuje pisanie o nich. Ma to w książce znaczenie trojokie: jest formą terapii (takim literackim egzorcyzmowaniem demonów), rozwija potencjał intelektualny (Mary od początku mocno ciągnie do książek w przepastnej bibliotece doktora) i zarazem daje podstawę konstrukcji powieści. To po prostu dziennik bohaterki. Na to musiałem trochę popsioczyć, bo Mary nieuchronnie okazuje się trochę zbyt utalentowaną pisarką, czego bym się raczej po takiej prostej osobce nie spodziewał. Jej zapiski są niby trochę upstrzone różnego rodzaju błędami językowymi dla dodania realizmu, jednak trudno uwierzyć w prawdziwość tych notatek. Ona po prostu pisze dobrze, bo Valerie Martin pisze dobrze i nie ma na to rady. Ale to taki mały zgrzyt, czytelnik musi zawiesić niewiarę i zaakceptować tę formę literacką.

Od początku również widać, że opisana powyżej para ma się ku sobie. Ale chyba nie w sensie romantycznym, miałem zamiast tego wrażenie, iż oboje coś innego sobie dają i od siebie czerpią, uświadamiają sobie nawzajem istnienie różnych obaw i nadziei. Mary uczy się mówić o pragnieniach, przeżyciach i lękach, pozwala sobie marzyć, czuć, a nawet śmiać się, słowem: odżywa. Kojarzy się z przydeptanym polnym kwiatuszkiem, który podnosi się, gdy zrosi go deszcz i opromieni słońcem. Jekyll wciąż chwali Mary bez opamiętania, twierdząc wręcz, iż przewyższa ona rozsądkiem i moralnością wielu jego znajomych z wyższych sfer. Rozmawia z nią niemal po koleżeńsku, prawi komplementy, okazuje tak wiele ciepła i współczucia, że aż dziwiłem się, iż jej nie awansuje albo chociażby nie da podwyżki. Najwidoczniej doktor zaczyna dostrzegać, ile nieoszlifowanych diamentów kryją londyńskie niziny społeczne. To w gruncie rzeczy naprawdę równy facet, szkoda tylko, że nic więcej nie jest obojgu pisane – los doktora jest wszak przypieczętowany.

Oto na scenie wydarzeń pojawia się asystent Jekylla, tajemniczy pan Hyde. Osobnik nieprzyjemny, wulgarny, niestroniący od prostytutek, kuszący Mary pornograficznymi zapiskami swojego autorstwa (które są pisemną manifestacją tłumionych seksualnych fantazji Jekylla). Zdecydowanie nie jest dżentelmenem. Szybko okazuje się, że to nielichy eufemizm, bo padają pierwsze trupy i to w sposób mocno makabryczny. Ta część książki wydaje mi się nieco zaniedbana, bo Hyde i Mary prawie wcale nie mają ze sobą do czynienia, co z pewnością dodałoby historii pikanterii i siły. Jest on przecież drugim wcieleniem jej okrutnego rodzica, takim właśnie potworem, przed którym uciekała przez całe dorosłe życie. Ojciec niby jeszcze żyje, ale ona wołałaby, żeby pozostał martwą przeszłością. Dla jasności: nie chciałbym brutalnych opisów aktów agresji czy próby gwałtu, ale przydałoby się chociaż więcej dialogów pomiędzy bohaterami. Hyde dysponuje tą samą wiedzą na temat kobiety, co Jekyll, więc opisy tego, co mógłby z taką wiedzą zrobić, by pognać Mary, byłyby interesujące. A tymczasem postaci niemal nie wchodzi w interakcje, nawet ich finałowe starcie jest trochę rozczarowujące.

Jak można się spodziewać, książka kończy się bardzo przygnębiająco, bo czego zresztą oczekiwać po smutnej, wręcz tragicznej historii. Aczkolwiek jest to, powiedziałbym, adekwatny smutek, logiczna kulminacja dotychczasowych wydarzeń; każde inne zakończenie traciłoby fałsz. Natomiast w samym posłowie moim zdaniem Martin wyklada się jak na skórcie od banana. Serwuje czytelnikowi zupełnie niepotrzebną bajeczkę o tym, jak to niby pamiętniki Mary Reilly zostały niedawno odnalezione i skomplikowanym splotem okoliczności dotarły w ręce pisarki, której nie pozostało nic innego, tylko je odrestaurować, przeredagować i opublikować. Pod swoim nazwiskiem, oczywiście. Jest to chwyt w literaturze zatratowany niemal do imentu, wykorzystany choćby w powieściach „Żołdak i zło świata” Michaela Moorcocka, czy „Siostry” Federico Andahaziego (ze względu na nawiązania do literatury gotyckiej drugą pozycję można z czystym sumieniem polecić fanom „Mary Reilly”). Jak gdyby nie można było napisać w pierwszej osobie powieści dziejącej się niewspółcześnie,

bez wyczerpujących tłumaczeń, skąd to w posiadaniu okładkowego autora wziął się oryginalny manuskrypt. Kogo to obchodzi? Dużo bardziej wolałbym poczytać o inspiracjach Martin, o pracy nad książką, problemach, które nastroić może pisanie na bazie cudzego dzieła i innych tego typu sprawach. Dobrze, że posłowie liczy niespełna pięć stron i nie stało się przysłowiową łyżką dziegciu w beczce miodu.

Wypada napisać również kilka słów o filmowej adaptacji. Projekt ten przechodził latami z rąk do rąk, od Romana Polańskiego przez Tima Burtona aż do Stephena Frearsa, reżysera „Niebezpiecznych związków”. Pewnie dlatego w wiadomej roli obsadził Johna Malkovicha, bo reżyser i aktor już się kiedyś poznali i wiedzieli, że dobrze im się współpracuje przy filmie kostiumowym. (Burton wybrałby niewątpliwie Johnny’ego Deppa, co właściwie też byłoby udanym posunięciem.) Decyzja słuszną, ale filmowi nie do końca wyszło to na dobre. Malkovich potrafi być przekonujący jako przyzwoity dżentelmen, ale sprawdza się i w roli drapieżnej bestii, co udowodnił przynajmniej kilkakrotnie w karierze. Jednak nie w obu wcieleniach naraz – przecież zgodnie z klasyczną nowelą Roberta Louisa Stevensona i z powieścią Valerie Martin, Jekyll i Hyde kompletnie się od siebie różnią: wzrostem, budową ciała, rysami twarzy, kolorem i długością włosów. W filmie natomiast właściwie przez cały czas widać boleśnie wyraźnie, iż jest to ciągle ta sama osoba, zmieniająca najwyżej stroje i peruki. Trudno uwierzyć, że ktokolwiek mógłby się na to nabrać. Zaangażowanie dwóch aktorów mogłoby z kolei odebrać historii część siły dramatycznej. Z pewnością było to niełatwe zadanie i Malkovichowi udało się z niego w dużym stopniu wybrnąć, ale nie całkowicie. To po prostu kolejne zawieszenie niewiary wymagane od odbiorcy, w tym przypadku widza.

Z Julią Roberts wszystko przebiegło bez przeszkód. Wypadła tak naturalnie, jak powinna. Zahukana i myszowata, takie brzydkie kaczątko, z którego w końcu może coś wyrosnąć. Przyznam, że nie lubię tej aktorki, jest nieładna i nie przyciąga mojej uwagi, ale tutaj pasowała jak ulał. Złośliwie to zabrzmi, ale mam wrażenie, że w tym filmie wyglądała równie nieefekownie jak bez makijażu i fryzury w prawdziwym życiu.

Dobłą rzeczą jest, że w ekranizacji mocniej uwidoczniono postać pana Hyde’a, zdecydowanie jest on teraz jednym z głównych bohaterów, podczas gdy w pierwowzorze nie był zbyt wyrazisty. Ma przez to większe pole do popisu w zestawieniu z Mary, a to wydaje mi się najważniejsze. Także ogólna warstwa wizualna jest zdecydowanie dobrze oddana, film ma dobrze znany gotycki styl, ale nie zbacza całkiem w stronę romantycznej pocztówki z epoki, tylko wiarygodnie przedstawia ówczesne realia.

Teraz nie mam już wyboru, muszę się wreszcie zabrać za „Doktora Jekylla i pana Hyde’a” Stevensona. Zastanawiam się tylko, czy po przyswojeniu tyłu inkarnacji opowieści będę jeszcze w stanie cokolwiek nowego z niej zaczerpnąć, boję się, że jest już dla mnie zbyt mocno wyeksploatowana. Oprócz tego na półce czeka kolejna powieść Valerie Martin, „Współczesna męczennica”. Już sam tytuł wskazuje na ciąg dalszy tematyki feministyczno-martyrologicznej. Zapowiada się ciekawa lektura. Może warto przeczytać te książki jedna po drugiej?

Patryk Cichy